

i zakończyła takim samym, jak on, okrzykiem przenikliwym, namiętym, który przeleciał po nad lasy, hale, turnie, wirchy i skonał gdzieś w głębi Doliny lekkim westchnieniem.

— Słyszysz pan? — szepnęła, musnąwszy oczyma twarz jego.

Przez sekundę aż przystanął, zdumiony i oszołomiony niespodziewanym szczęściem, wreszcie zdobył się na słowa:

— Pani... Wando, ja panią tak kocham, tak uwielbiam...

— Cicho, — upominała go zarumieniona.

Dorcia nadchodzi... Cóż, Dorciu, nie spotkałaś wiewiórki? A może zdobyłaś kwiat...

— Szczęścia, — dokończyła Dorcia z uśmiechem, a zobaczywszy rozpromienioną twarz Borowieckiego, dodała: — tego kwiatu nie znalazłam, bo mój za górami, za lasami, ale pan Borowiecki ma minę, jak gdyby go już dojrzał.

— Istotnie jestem szczęśliwy, że mogę być z paniami w tej Dolinie.

— A mnie do szczęścia potrzeba coś do zjedzenia — zaśmiała się Dorcia, — gdzie pana zalety?

— Wybierzcie panie stół tylko, a zapasy się znajdują.

Wybrano dość płaski odłam skały, a Borowiecki ze zręcznością rufynowanego lokaja, nakrył wierzch skały serwetą i kolejno wydobywał chleb, masło, ser, zimne mięsiwa, talerzyki, noże i widelce.

— Ależ to ucztą nielada, — powiedziała przyjemnie pani Wanda, — i pan to wszystko dzwigał.

W odpowiedzi Borowiecki rozstawiał szklaneczkę wsuwane jedna w drugą i butelkę wina.

— Ten plecak bezdenne, — śmiała się Dorcia, — cóż pan ma więcej?

— Pudełko cukierków dla grzecznych dzieci.

— Już jestem grzeczna, — zrobiła dyg Dorcia, — i proszę o czekoladkę.

— O, nie! Wpierw coś posilniejszego, — położyła pani Wanda rękę na pudełku, — Dorciu, proszę słuchać!

— A, jeśli cukry na deser, to już ucztą, — zaśmiała się Dorcia, — muszą tedy być i kwiaty. Idę poszukać, zaraz wrócę.

— Ledwie mogę uwierzyć memu szczęściu, — mówił rozkochany, — i pani naprawdę nie obraziła się, że wyznałem moją miłość i uwielbienie?

— Cóż w tem obraźliwego, że panu się podobałam? — uśmiechnęła się pewna siebie i swego wpływu.

— Uważam panią za tak świętą, czystą, nietykalną, że pragnąc wypowiedzieć od dawna moją miłość... wahałem się i obawiałem urazić panią.

— No, a teraz? — zaśmiała się swobodnie.

— I teraz jeszcze nie dowierzam swemu szczęściu, — i całując jej rękę prosił, — powtórz pani, powtórz...

— Ach, tę piosnkę, — patrzyła na niego rozbawiona, — a dobrze; tam, o ile pamiętam, są słowa: „cóż ja temu winna, choć ja nie powinna”.

— Opuściła pani słowa: „że kocham”...

— To niech już pan sobie dośpiewa, czy dobrze?

— Nic nie maciłoby mego szczęścia, gdyby...

— Już gdyby? — zawołała, — czy nie zawcześniej?

— Na to gdyby, nigdy nie jest zawcześniej, ono bowiem stanowi o trwałości mego, a raczej naszego szczęścia.

— Jakże jednak posiada pan zaborcze instynkty! Więc panu jeszcze za mało tego, co już powiedziałam? Teraz gdyby... za chwilę: jeśli... ale, ale, czy pan zazdrosny?

— Ja?... Dotychczas nie byłem o nic i o nikogo, ale teraz jestem zazdrosny o każdy uśmiech, spojrzenie, a nawet myśl, i to uczucie sprawia mi niezmierną przykrość.

— To brzydko być zazdrosnym, — powiedziała surowo, — to brak zaufania, brak wiary i szacunku, musi się pan pozbyć tej przywary.

— Pozbędę się z chwilą, gdy będę miał pewność wzajemności i, daruję pani to nieszczerze słowo: wyłączności; ale gdy pomyślę, że ktoś inny ma prawo do uśmiechu, spojrzenia, uścisku...

— Dość już... Dorcia! — ostrzegła szybko i dodała cicho: — do czasu tajemnica.

— Są już i kwiaty, — położyła pęk zielonych gałązek, — a teraz jeść!

Zaimprovizowany posiłek był bardzo ożywiony i wesoły, a gdy Borowiecki wyjął maszynkę do gotowania herbaty, Dorcia uparła się, że przyniesie wody ze źródła, które znalazła na leśnym stoku.

— Dzień ten zaliczam do najpiękniejszych w mem życiu, — mówił rozczulony, — pozyskałem miłość tej jedynej kobiety, którą ukochałem.

— Tylko niech mnie pan nie stroi w swej wyobraźni w różne wdzięki i cnoty... może się pan rozczarować.

— Co do pani nigdy. Pani jest tak szczerą,



— Co za urocza i miła dolina.

dobra i rozumna, że całe życie nasze będzie jednym pasmem szczęścia i rozkoszy.

— Niech pana nie unosi fantazja, — powiedziała cichym, smutnym głosem, gdyż przypominały się jej podobne słowa jej męża przed ślubem, — życie kryje w sobie mnóstwo przeciwności, zgrzytów i smutków... a szczęście to taka krucha rzecz.

— O nie, pani Wando, ja uścielę drogę pani różami, nad nami zawsze będzie czysty błękit nieba, jak dziś, i promienne słońce, — mówił szczerze i z przejęciem.

— Zazdroszczę panu tej wiary, ja jej nie posiadam, — westchnęła.

— Uwierz pani, gdy złączeni ze sobą rozpoczniemy życie. Nic trudnego, nic niemożliwego nie widzę przed sobą, gdy mam zdobyć szczęście dla pani. Powiedz tylko, że będziesz moją, że złączymy się na życie i śmierć, a niema takich przeciwności, którychbym nie zmógł, — wziął jej rękę i okrywał gorącymi pocałunkami.

Oboje byli odwróceny od drogi, w stronę Dorci, która nie wracała od źródła, wtem za nimi, z zakrętu drogi od strony Zakopanego, nadeszły

panie: Porecka z córką, Mniewska, radczyni i Łotuska; i panowie: Łotuski, Jedliński i Szarocki.

Przodem szła Madzia z panią Mniewską, i one pierwsze spostrzegły, jak Borowiecki całował rękę pani Wandy. W tej chwili Madzia odwróciła się do idącego za nią towarzystwa i kładąc palec na ustach, wskazała na panią Wandę. Twarze pań wyrażały drwiące oburzenie z wyjątkiem pani Mniewskiej rozweselonej. Łotuski miał minę zadowoloną i z dumą patrzył na żonę; Jedliński uśmiechał się złośliwie, rad z kompromitacji pani Wandy; natomiast Szarockiemu błysnęła możliwość, że on z panią Łotuską mógłby się znaleźć w tem samym lub gorszym położeniu i współczując, chrząknął głośno. Panie spojrzały na niego niechętnie i zaczęły iść dalej.

Borowiecki z wolna się odwrócił na odgłos chrząknięcia i szepnąwszy pani Wandzie:

— Idą znajomi, — ukłonił się zbliżającym bez pośpiechu.

Teraz odwróciła się i pani Wanda, skinęła głową na powitanie, a pani Mniewska przyspieszyła kroku i zawołała, wyciągając rękę:

— Co za miła niespodzianka!... Nie przeszkadzamy, niech państwo posilą się po spacerze.

— Już skończyliśmy prawie.

— Co za urocza i miła Dolina, — witała się Madzia, — czy i dla pani?

— Bardzo piękna.

— I taka daleka, samotna, — uśmiechała się pani Porecka, — bez gwaru i natłoku ludzi, którego nie lubię, a pani?

— I ja również, — uśmiechnęła się pani Wanda, — ale tem milej spotkańczyliwych przyjaciół... Może panie pozwolą, — podawała otwarte pudełko cukierków.

Borowiecki witał się z panami, a pan Łotuski sciskając silnie jego rękę, rzekł z naciskiem:

— Nigdy nie spodziewałem się spotkać tu pana.

— Zawsze z niespodziankami liczyć się trzeba, — uśmiechnął się, — to chroni od rozczarowań i przykrości.

— Pan daruję, — rzekł pan Jedliński współczująco, — że przerwailiśmy...

— W samą porę, — zaśmiał się Borowiecki, — mam niekniętą butelkę wina... może pan pozwoli kieliszek?... A, i pan Henryk! — ścisnął rękę Szarockiego, — czy idziemy do Siklawicy?

Z za skały wyszła Dorcia, po drugiej stronie potoku, niosąc ostrożnie wodę, a pani radczyni zawołała z pewną ulgą:

— Ta tu jest panna Rawicka!... Ta co ona niesie?

— Wodę na herbatę, — uśmiechnęła się pani Wanda.

— Ta państwo myślicie tu dniewać, czy co? — zgorszyła się radczyni, — ta i poco tak długo?

— Ażeby podziwiać piękną Dolinę Strążycką, — zaśmiała się niewinnie Madzia.

— Ta cały, boży dzień? Wystarczy raz zobaczyć, bo i co tu wielkiego? Ot, potok, las i skały. Samemu niema tu co robić.

— To też pani Jerzycka nie jest sama, — odezwała się uprzejmie pani Porecka.

— Ta ja to widzę, — zaśmiała się radczyni, — a kto te specjały przyniósł? — wskazała na zastawę.

— Pan Borowiecki, — spojrzała pani Wanda na zbliżającego się, który dosłyszawszy pytanie dodał: — wybieramy się na Czerwone Wirchy, droga dość daleka.

— Na wirchy? — zdziwiła się Madzia, — a przecież pani Jerzycka nie może spojrzeć z trzeciego piętra?

— Po drodze niema przepaści, — objaśnił Borowiecki.

— Ta i poco drapać się na Czerwone Wirchy? — skrzywiła się radczyni, — zmęczy się człowiek, spoci i zobaczy góry, które i z dołu widzi. Także satysfakcja? — zaśmiała się drwiąco.

(Ciąg dalszy nastąpi).